

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

# Z oparów krwi

Powieść dyktowana przez autora w transie.  
(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

— Nie — odparł Edward — mylicie się... Ta zaraza z waszego kraju pójdzie wszędzie, jak ten swąd onegdajszej pożogi... Wciśnie się w każdą szczelinę... To bez wpływu minąć nie może... To wszędzie na pewien czas zatrąje myśli i uczucia...

— Ale na pewien czas... powiadasz... Więc pan się nie boisz, by to w przyszłości miało wszędzie pogasić gwiazdy światów Ducha.

— Oczywiście, że się nie lękam. Ja wierzę, jak nasz wspólny przyjaciel, Zygmunt, że w walce tych dwóch światów musi zwyciężyć ten górny... Wtem zjawiał się nowy gość.

Znali go wszyscy, ale powitali bardzo niechętnie. A już gospodarz i jego żona nie mogli ukryć swego niezadowolenia.

Zresztą człowiek ten nigdy tu nie był... Skądże właśnie w takiej chwili ma ochotę ich odwiedzać?

A redaktor z kruczą kędzierzawą czupryną nic sobie nie robił z wyraźnej niechęci, lecz witał się ze wszystkimi natrętnie.

Po pierwszych słowach Iza zadrżała na całym ciele. Przybyły bowiem zaczął opowiadać o Zygmuncie. Nie mogła się powstrzymać od pytań:

— Więc dojechał szczęśliwie do matki... Więc zastał ją jeszcze przy życiu...

— Ależ tak... wyzdrowiała.

— A zatem dojechał tam jeszcze przed zbiciem miasta przez czerwonych.

— Ależ naturalnie. Brał jeszcze udział w wieczorze politycznym przeciwko nowym zwycięzcom...

— Co też pan mówi... Zygmunt do polityki się nie wtrącał...

— A jednak... się zaprosił do uświetnienia koncertu, przed którym wygłaszano w bardzo ostrym tonie mowy polityczne...

— Skąd pan wie o tym tak dobrze?

— A no... widzicie państwo... jako redaktor mam wszędzie znajomości... Mam też i pewne stosunki z tymi, którzy za wojskami wkroczyli do naszego miasta na czele władzy cywilnej... A że właśnie stamtąd do nas przyszli, że mnie mogły interesować te rzeczy... więc wśród rozmowy dowiedziałem się i tego... Że zaś wiem, jaką czią cieszył się w tym domu nasz nieodżałowany kompozytor... więc przyszedłem...

Głos Izy nie dał mu dokofczyć. Cała zadrżała, zbladła — i mąż zaczął ją uspokajać.

— Więc co się z nim stało? — pytano.

— A no... miał zły pomysł zgodzić się na udział w takim wieczorze... i to w chwili... gdy można było spodziewać się z dnia na dzień zmiany władzy... Grał swoje „Dwa światy“... A nawet po wieczorze... indagowany, opowiadał treść utworu.

— I co i co? aresztowano go!

— Ha... gdy przyszli czerwoni... wskazano zaraz w pierwszej chwili uczestników politycznego wieczoru... Rzeczywiście samych działaczy białych... Więc między nimi... z miejsca... bez sądu... rozstrzelano i muzyka.

Gdy mąż docucił Izę z omdlenia, grono przyjaciół nie mogło się rozejść — i pod strasznym wrażeniem — rozmawiało dalej o autorze „Dwóch światów“.

Przeszkadzała obecność natrętnego redaktora, ale się z tem pogodziło, że dzięki niemu miano tak wcześnie żalobną wiadomość.

A w tem właśnie on zagadnął gospodarza:

— Nie pamiętam, kto mi mówił, że muzyk stworzył swą sonatę pod wrażeniem pańskiego wiersza.

Edward milczał.

— Ależ tak... Nawet sobie przypominam tytuł... chociaż nie pamiętam w jakim dzienniku pan to drukował...

Edward zamarszczył piękne brwi krzaczaste. — Przedewszystkiem nie w dzienniku... bo uważam, że dla poezji nie miejsce w ordynarnej codziennej gazecie. Nawet tygodnik jeszcze mi się wydaje za pospolity. Uznałbym od błędy na to miesięcznik, jeśli nie kwartalnik, wykwinę rocznik...

— Ależ to z pana arystokrata!

— O, tak, panie... z całej duszy brzydzę się chamstwem.

— Ha, trudno, panie, by dlatego nie miały wychodzić brukowe dzienniki, że poeci woleliby swe sonety umieszczać w wytwornych ilustracjach.

— Przepraszam pana — rzekł Edward — mimo woli byłem niegrzeczny względem swego gościa... Zapomniałem, że mam do czynienia właśnie z redaktorem gazety. Ale powtarzam, że mam na myśli tylko prawdziwą poezję...

— Ja się nie obrażam. Ale prawda, że się nie myślę i nawet dobrze pamiętam tytuł owego pańskiego wiersza... „Biały sztandar“... Czy nie tak?

— Tak — wycodził gospodarz przez zęby.

— Polityczny wiersz... prawda — zagadnął redaktor, poprawiając binokli na nieco zgarbionym nosie.

Lecz rzeźbiarz, tuż przy nim siedzący, zachnął się:

— Co pan gadasz... wszak sam wiesz najlepiej, że pan Edward nie wtrąca się nigdy do polityki...

— No tak, ale dziś sam tytuł tyle mówi.

A wtedy siedzący w kącie malarz, który częściej niż pędzlem lubił się bawić reżyseryą w poważnym teatrze, jął niby od niechcenia recytować ostatnie strofy „Białego sztandaru“, których treścią było to samo, co zawarł w ostatnich akordach swej wielkiej sonaty tragiczny twórca „Dwóch światów“.

Wstrząsające słowa płomiennego wiersza porwały grono słuchaczy. Pod wielkim wrażeniem nastała chwila ciszy.

I w tę ciszę padły wstrętnym zgrzytem wyrazy, wypłute znowu przez redaktora:

— A jednak polityczny wiersz... polityczny...

To też wielka ulga ogarnęła towarzystwo, gdy po tych słowach wyniósł się gość niemily.

## II.

Noc zapadła ciemna, bezgwiezdna.

W braku służby Edward wyszedł z wieczora pozamykać okiennice. Miał już wracać, gdy w drzwiach ganku od ulicy przystanął jeszcze.

Miało robić wrażenie wymarłego. Gdyby nawet nie było rozporządzenia, że od chwili zmierzchu wychodzić na ulicę nie wolno, ludzie i tak nie mieliby odwagi oddalać się od domu wśród tego mroku ulic umyślnie nieoświetlonych.

Panowała cisza, ale zdaleka dolatywało szczenie i wycie całego mnóstwa psów. Wytwarzało to muzykę dziwną, niesamowitą...

Edward z progu wstąpił w to i załośnię głową poirzął.

Doznał wrażenia, że widzi całe mnóstwo ogarów... wygłodniałych... wściekłych...

...Gryzą się między sobą do krwi... i wśród piekielnego ujadania raz za razem rzucają się na białą chorągiew... jak obłok górą płynącą... by ją ściągnąć w kurz śmietników... by ją unurzać w błocie kałuż ulicznych i taką zszarganą wyrwać sobie pyskami... w juszce wścieklej uwalaniami... i fargać zębami bez końca... na strzępy... póki się ścierka brudna nie rozpadnie w kawałki...

— Wyjcie, psy wściekle — mruknął Edward — niedoczekanie wasze! Zygmunt padł... ale pieśń jego płynie... jak mój sztandar, niesie się górą w kraj Ducha...

W tem zdało mu się, że za węglem daleko tłucze się echo czyichś kroków po bruku, więc cofnął się za drzwi i zaryglował je na noc.

A właśnie szła już ku niemu Iza pełna niepokojem. Wrócili z sieni razem, objawszy się czule ramieniem.

— Czyś ty pewny mój Edi, że twoje dokumenty cudzoziemskie ochronią nasze mieszkanie od ich urzędowej grabieży?

— Naturalnie — uspokajał — nie odważą się.

Kiedy się znaleźli w sypialni, gdzie łóżka ich stały pod przeciwległymi ścianami, Iza wpadła w szloch nerwowy. Podszedł mąż do niej i z trudem zdołał ją utulić.

— Boję się — powtarzała raz za razem — ciągle staję przedemną widmo biednego Zygmunta... Boję się...

Edward dał jej kropli na uspokojenie i do snu ułożwszy troskliwie, pożegnał ją przeciągłym pocałunkiem.

A kiedy od jej łóżka na drugą stronę przechodził do swojego, nogi się pod nim zachwiały... i za serce coś go boleśnie ścisnęło...

W godzinę później spali oboje — bardzo wyčerpani szeregiem przejść ostatnich.

W tem głośny brzęk szyb rozbudził ich nagle. Zerwali się z pościeli i przysiedli.

Błysnęło światło.

Jeszcze się nie zorientowali, że szyby wypadły w werandzie od strony ogrodu, i że przez jadalnię ktoś szedł ku nim — gdy już w pośrodku pokoju sypialnego stanął, jakby z pod ziemi wyrosły, zbier... w postawie groźnej.

W czapie, na tył głowy zsuniętej, tkwiła krwawa plama ogromna kokarda czerwona, spływająca na bok czoła.

W wyciągniętej przed siebie ręce błyskał długi rewolwer.

Oboje w tej chwili klęczeli na swych łóżkach, w koszulach, gdy zjawił się zbój w świetle błękitnej ampli.

Iza pociągnęła koldrę ku piersiom, gdy Edward miał wyskoczyć z postania i odziewać się pośpiesznie, ale już napastnik stał przy nim.

— To ty jesteś — zawołał, przeszywając go pełnem złości spojrzeniem — to ty — powtórzył.

I w tej chwili padł strzał... jeden... drugi... piąty...

Iza rzuciła się w koszuli ku Edwardowi, który się zwałił na pościel.

Mózg jego oblepił ścianę nad łóżkiem... a krew ciepła obryzgała Izę.

Po sześciu kulach, wyrzuconych błyskawicznie, zbój odwrócił się ze spokojem i nie spojrzawszy nawet na kobietę, która u jego nóg przed łóżkiem zabitego męża leżała martwa w kałuży krwi, wyszedł do salonu.

Drzwi tylko w pasy za sobą zatrzasnął.

Tam już towarzysze jego pracowali zawzięcie, więc pospieszył pomagać im w urzędowej rewizji. Całe mieszkanie poety sprzewracano. W kilku walizkach wyniesiono co najkosztowniejsze, resztę zostawiając na później.

Kilku zbirów, gospodarując po pokojach, zachodziło parokrotnie do sypialni, ale każdy, spojrzawszy na Izę, brał ją za trupa i odchodził z powrotem, nie troszcząc się o piękną kobietę w koszuli.

Kiedy się już wszyscy jednak powynosili, ostatni z rabusiów zawrócił, podszedł do kałuży krwi, nachylił się... i chciał ściągnąć z palców pierścionki...

A wtem zimna ręka Edwarda z trupią sztywnością zsunęła się z krawędzi łóżka i padła na rękę zbója, ściskając palce Izy.

Przelał się tego trupa ruszającego się... i z krzykiem strasznym, porzucając wszystko, uciekł.

Cisza zaległa z powrotem mieszkanie jasno oświetlone i naścieżaj otwarte.

Edward męczył się strasznie.

Patrzył na swego trupa w pościeli krwią zatopionej... patrzył na mózg oblepiający się po ścianie... patrzył na Izę ukochaną, w kałużach krwi jego martwo leżącą... i rozpacział bezradnie.

Chciał się ku niej rzucić i wyciągnąć ją z tej krwawej topieli... I rąk mu brakło.

Widział tam na łóżku tego trupa, sześcioma kulami podziurawionego, dwule swoje zimne ręce... i nie mógł nic począć, by dotknąć się żony i zbudzić ją z martwoży.

Chciał krzyczeć i nie mógł.

Tam na łóżku w tej bezkształtnej masie głowy zostały usta, któreby teraz chciał całować Izę.

Czuł wielki ból... jakiś nowy ból... jakiś inny ból, którego jeszcze nie przeżywał.

A w tym bólu był żal bezmierny... i było pragnienie serdeczne powrotu do życia.

Pamiętał wszystko, co było, i widział w tej chwili wszystko, co jest... i bał się strasznie tego, co będzie...

Wpatrzony w Izę oczyma ducha — zaczął się lękać o jej zmysły.

I naraz przypomniała mu się jakaś noc z przed paru tygodni, tu, w tej sypialni, z nią przeżyta...

Miało być oblegane. Nieprzyjaciół znajdował się tuż za rzeką i od wieczora można się było każdej chwili spodziewać, że pierwsze strzaże wkroczą do środka i zaczną się walki uliczne. W obawie tedy przed bezwładną strzelaniną, przygotowywano się z wieczora, jakby najlepiej schronić się przed kulami.

(Ciąg dalszy nastąpi).